



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEȚ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Stanisław Nałęcz - Ostrowski.

Ideaty niewieście poetek polskich

Studjum etyczne-literackie.

(Dalszy ciąg).

W fantazyi, zatytułowanej „Duch niewiasty i poetka,” duch piękności i cnoty niewieściej, ożywiający ciała martwe, jawi się przed poetką, która olśniona jego pięknoscia, prosi go, by namascił jej serce miłością i by jej pobłogosławił. Duch spełnia prośbę poetki i daje jej sercu „rozkosz nadludzka i olbrzymie siły” — moc twórczą słowa, z którego rodzą się czyny; następnie pyta ją, gdzie są inne kobiety — jej siostry — aby im również pobłogosławił. Poetka wskazuje mu snujące się w koło nich tysiączne niewieście postacie, lecz duch odpowiada, że są to wszystko tylko „ciała bez duszy promiennej,” kształty nieżywione technieniem Bżem, martwe szkielety, które nie dostąpią nieba, wyrzekły się go bowiem w swej próżności i płochości i odepchnęły je dobrowolnie; piękność ich anielska, w której ludzie widzą bóstwa odbicie — to fałszywy pozór jedynie, „mamona dla świata,” to „łachman pomalowany, na którym perły błyszczą, lecz sam przez się szmata.” Poetka błaga ducha, by zstąpił na nie, choć niegodne tego i „opromienił je światłością namaszczenia swego,” aby przez to namaszczenie odrodziły się i nieba godnymi stały, a mężczyznie stanę się natchnieniem wielkich czynów. Lecz niewiasty żądają od ducha nie duchowej piękności, nie duchowego udoskonalenia, ale *skarbów*, które dają im władzę nad

światem — i *wdzików*, które mężczyznie kładą im u nóg. Duch więc rzuca klątwę zmysłowemu, by przy wdziękach były wzgardzone, a przy bogactwach nieszczęśliwe, przyzywa pioruny, aby wyniszczyły plemię niewieście.

„Niech z pośród niego jedna białogłowa, W źródle mądrości i cnoty ochrzczona, Ród ludzi nowy wychowa!... Lecz szukajmy, czyli ona Znajdzie się jeszcze na ziemi?...”

Należy więc iść i szukać po ziemi — choć jędnej takiej cnotliwej, która może gdzie „światu utajona w zakątku cichym pędzi dni w żalobie.” Poetka odpowiada mu z ufnością, że niejedna znajdzie się na świecie „nad poziom wyższa dusza, niejedna kobieta „czysta i pogodna jak gwiazda,” tylko szukać należy skrętnie, „kwiatki bowiem chwast zagłusza.” Duch zaczyna poszukiwania od rodziny, gdzie „na łonie bogobojnych i cnotliwych matek w dziecinie pielęgnuje się kwiatek nadobny społeczeństwu.” Oto dom — i rodzina, a w niej młode dziewczę, otoczone mistrzami i nauczycielkami, lecz niestety! — zamiast rozwijać i kształcić w dziewczęciu cnoty duszy i serca zalety, mistrzowie ci i mistrzynie dbają o powierzchowne jej wykształcenie, rozwijają w niej światowe jedynie talenta, a serce i dusza pozostaje odłogiem, na którym tylko chwast i dzikie ziele się rozpleni. Z dziewczęciami tak wychowywanego „wyrośnie kobieta bogactw, hołdów chciwa, nieszczęśliwa! nieszczęśliwa! Smutny i zawiedziony, chce już duch ulecieć „za obłoki,” lecz poetka, która nie straciła jeszcze wiary w możliwość odszukania na ziemi cnotliwej kobiety, mówi:

„Jeszcze nie wszystkie, pójdźmy do kościoła, A tam znajdziemy kobietę anioła — Pobożność szczerą z wzniosłych uczuć płynie.”

Lecz niestety!... i w kościele — zamiast prawdziwej pobożności i skruchy, wszędzie tylko fałsz, obłudność i próżność w sercach kobiet: jedna porusza wprawdzie ustami, szepcąc modlitwę, lecz myśl jej słowom nie towarzyszy; druga, siedząc w kościele — duszą jednak przebywa wśród świata i goni wspomnieniem złudne mary i obrazy grzeszne; inna — „choć żona-matka,” — upatruje w kościele kochankę, któremu w domu bożym naznaczyła schadzki; inne wreszcie zazdroszczą sobie wzajem strojów, szyderskim obrzucają się wzrokiem i przygotowują w myśli pociski złości i obmowy. Gdy powtórnie zawiedziony duch wyrzuca to poetce, że w kościele nie może odszukać „nawet cienia kobiety,” — nie tracąc nadziei, każe ona szukać mu dalej — coraz dalej po ziemi:

„Nad siołami świecą nieba
I przestrzeńsze i piękniejsze,
Prawej cnotcie przyjaźniejsze...”

Tam więc, gdzie cichego a pracowitego życia żadne echo z dalekiego nie zakłóca świata, gdzie serca biją częściej i serdeczniej, — do wsi prowadzi ducha poetka. I oto wdali od miasta, w cichem cmentarnem ustroniu widzą dziewczę, u stóp krzyża na mogile kłęczące. Mogiła ta jest grobem jej rodziców, a sierota często przybiega na nią popłakać i poskarżyć się cieniem rodziców i Bogu na swą dolę sierocą i na swój smutek. Ledwo że poczęła rozkwitać jak róża w poranku młodości, gdy poznała młodzieńca, który jej się zdał uosobieniem wszystkich cnót duszy wysokiej i mężkiej. Pokochała więc go całą siłą świeżego i niewinnego serca, starając się ciągle o to, aby być godną miłości młodzieńca. Mając mężczyznie za „kapłana światła,” wierzyła, że „by go pojąć, trzeba kobiecie wraz z nim żeglować w umysłowym świecie,” kształciła więc duszę „świętą mądrością,” a jednocześnie „pilnie

strzegła sukienki cnoty, by myślą jej białości nie skalać...“ Lecz niestety! nie ona młodzienca, lecz on jej wysokiej miłości okazał się niegodnym. Ją, ubogą, porzucił dla innej bogatej, skarby jej duszy dziewiczej oddał za skarby złota... Przebacza mu jednak tę zdradę miłości, modli się nawet do Boga za niego, jeden tylko ból głęboko wgrzył się w jej serce, ból zawiedzionej wiary w „mądrość świętą,“ w której odzienie fałszywie się przyoblekł młodzieniec. Choć tak zawiedziona i zdradzona, chowa gdzieś jednak w głębi serca wierność dla niego i nie chcąc już żoną innego zostać, błaga Boga, by ją „poniżoną, kapłanką swojej uczynił miłości“ i ślubuje „nie zgwałcić nigdy przysięgi świętości.“

Inną potem widzą postać niewieściami także nad mogiłą, starą wdowę, która przychodzi na grób ukochanej niedawno zmarłej córki i zaklina w boleści zmarłą, aby choć na chwilę ożyła i wróciła do ich chatki, w której dotąd stoi jej łóżeczko, „w białe ubrane posłanie“ i „leżą z załamanemi karty księgi z żywotami świętych, z których uczyła się cnoty.“ Głos z grobu odpowiada, że powróciwszy do życia, męczyłaby się wspomnieniem zdrajcy, który stał się jej śmierci przyczyną. Wówczas matka, wyżej ceniąc spokój mogiły córki nad swoje szczęście widzenia ukochanej, które trzeba by opłacić jej męką, nie budzi już zmarłej do życia, mówiąc, że „milsze własne jej cierpienie, niż oczy córki łzami smutne...“ Z dwu powyższych przykładów duch poznaje, że przyczyną znikczemienia kobiet zawsze bywa mężczyzna i mówi, że gdyby niewiasty poczuły własne zbawienie, to mogłyby zgnieść owe „straszydła chciwości.“

„...bo w ich ręku władza
Ducha spoczywa;—Bóg im berło świata
Rzucił pod nogi, a nędzna, co zdradza
Swe powołanie i ze złym się brata...“

Lecz póki kobieta nie wcieli się duchem w piękność duchową, póki cnota w kale pozostawać będzie, dopóty „podła chciwość kupczyk będzie kobietą...“ Temi wreszcie słowy określa wysokie posłannictwo kobiety:

„Święcę niewiasty pomimo ich woli!
I ciskam wyrok: niechaj się wyzwoli
Z zębnych przesądów każda białogłowa,
Wielkości męskiej stanie się natchnieniem,
Bóstwa własnego wybitnym promieniem,
Niech godny siebie płód światu wychowa!“

Ale jest inna jeszcze struna na harfie Anny Libery, struna, której dźwięk zbliża poetkę naszą do Żmichowskiej: jest nim potrącenie kwestyi równości kobiety z mężczyzną na polu umysłu i ducha. Żali się poetka na los niesprawiedliwy i smutny „wyższej nad poziom kobiety,“ która czując w piersi siłę do lotów orlicy, zaledwie nieśmiało wzleci o jeden stopień nad inne kobiety, gdy ją wnet o dziesięć stopni pod jej równicę strąca zawistni. Skarży się na to, że „sława kobiety z jej umu zrodzona“ nie tylko że nie zyskuje uznania, lecz staje się przedmiotem szyderstwa mędrców fałszywych, którzy przeczą w niej nie tylko „umu, lecz nawet serca „wówczas, gdy pełność onego wyraża.“ Z goryczą więc zapytuje poetka, czy wrócić może wieki, gdy wątpić zaczęła o duszy kobiety?... Zaznacza potem, że nigdy o kobiecie sprawiedliwego nie wydano sądu, że ją albo nad ziemię wywyższają i aniołowi czynią równą, lub strącają do zwierząt. Kobieta, według poetki jest przedewszystkiem „bóstwa dostojnym obrazem,“ i ten „kto ją zniża lub płochy wznosi, ten egzaltuje prawdę przed sumieniem...“ Kobieta jest niemniej ani więcej tylko *człowiekiem*; „tem tylko imieniem, mówi poetka, niech będzie czczona przed mężem i synem...“ Zwraca się następnie do „sióstr-kobiet“ z wezwaniem, aby śmiało były „połową rodu ludzi,“ aby „wzniosły się w rozum,“ „obudzały wielkość“ w mężczyznach, przodowały im w cnotach, by „równość szlachetną okazały mężczyźnie,“ a z „źródła mądrości wyjdzie córka święta, matrona równą cześć weźmie w siwiznie...“ Co do stanowiska

w społeczeństwie kobiety, co do pola jej działalności — otwiera przed nią poetka rozległe horyzonty: „Dom—naród—bliźni—talenta—nauki,—wszystko wam przystoi,“ mówi do kobiet, każę im przyjmować udział w całym dorobku społecznym i umysłowym ludzkości.

Na skrzydłach tęsknoty duchowej ulata nieraz poetka nasza ponad ziemię, wznosi się do błękitów i tam— „w przeczuciu nieśmiertelności“ zatapia się duszą całą w gorącej ku Bogu miłości.

„Bo ta miłość, te uczucia
Są złotym z Stwórcą łańcuchem:
Rzucam ciało, jestem duchem
I ulatam od zepsucia...“

Rzuca wszelkie światowe nadzieje, wszelkie trapiące ducha i „mgłą pokryte domysły“ — i pewnością zdobytą sercem łączy z wiarą—

„Wysłałam i wracam do Boga!...“

Kobieta, obdarzona wszelkiemi staropolskiemi cnotami, jakie wyssała z łona matki, wykształciła przez wychowanie i rozwinęła w późniejszym życiu samodzielnie: kobieta, poczuwająca się do tego, że jest „połową rodu ludzkiego,“ że jest „człowiekiem“ — a więc korzystająca z praw jego i biorąca czynny udział w pracy ogólnoludzkiej; kobieta — pożyteczna i rozumna obywatelka w społeczeństwie i narodzie, a w rodzinie wzorowa matka i córka cnotliwa, — kobieta wreszcie jako istota duchowa, wśród więzów doczesności tęskniąca do swej ojczyzny niebieskiej — oto ideał, jaki się zarysowuje przed nami w utworach Anny Libery.

Najcenniejszą i zasadniczą cechą dusz dziewiczych, podług *Maryi Ilnickiej*, jest *czystość i tkliwość*.

„Niech będzie czystem wszystko, co jest młode,
Niech będzie tkliwem wszystko, co jest
[wdzięczne...“

mówi poetka, serce bowiem czyste a tkliwe samo godne jest szczęścia i innym udzielić go zdoła. Pragnęłaby poetka, by jak „wonność idzie od wszelkiej krzewiny,“ podobnie szła „dobroć od wszelkiej istoty.“ Z czystości serca jak ze źródła wypływają trzy cnoty kardynalne: wiara, miłość i nadzieja, kto bowiem zdoła wynieść z walki życia czyste serce, ten nigdy nie straci wiary „w dobro i prawdę“ i „do grobu z sobą niesie miłość i nadzieję...“

Nazwałbym Ilnicką poetką owych właśnie trzech cnot głównych, tak często struny jej lutni brzmiały tonem wiary, nadziei i miłości. Na tych trzech cnotach, wszczepionych w serca dziecięce i później rozwiniętych w młodości, zakłada poetka szczęście całego życia; w wierszu „Szczęście“ tak mówi:

„Ile wierzymy, ile kochamy,
Ile przed ciebie ciśniemy nadziei,
Tyle wśród życia przemiennej kolei
Z puharu szczęścia nektarów zaznamy...“

Jak słodko i spokojnie dźwięczy tu struna jasnej i pogodnej duszy, niezatrutej goryczą pesymizmu, niezmaconej wichrem zwątpienia i niewiary!... A jeśli wiara nas zawiedzie — jeśli zdrada odplatać będzie miłości, a rzeczywistość kłamza nadziei — co wówczas?... Wówczas — odpowiada nam poetka:

„Zapomnij o tem, co w życia kolei
Było ci stratą wiary i nadziei,
Co ci się stało miłości zawodem!“

„Ale pamiętaj — dodaje potem — co cię pokrzepiło, co było odwagą twoją...“ Tak więc przebaczenie zdrady każdej, zapomnienie każdego zawodu — oto cnota, która ożywia i wskrzesza i znowu czyni szczęśliwemi serca wpółumarłe, bolesne i zdradzone. Z wysoko podniesionym w ręku sztandarem wiary, z iskrą miłości w sercu iść należy przez życie, a patrzeć wciąż w zatloną przed nami gwiazdę nadziei; iść naprzód wytrwale — a nie liczyć potknięć po drodze, nie dawać

sercu ostygnąć z ognia świętego, nie tracić przed oczu ani na chwilę gwiazdy przewodniej, — w ten tylko sposób można przejść życie szczęśliwie i stanąć u upragnionego celu. Trzeci omym cnotom głównym znalazła nawet poetka widome upostaciowanie: o świecie trzeciego ranka u grobu Chrystusowego stanęły trzy niewiasty i najpierwsze padły do nóg Zmartwychwstałego, — a nie była to, mówi poetka, Maryja ani Magdalena, ani Salomea, — to były „Miłość, Wiara i Nadzieja.“

Wychodząc w świat, młoda dziewica powinna wstąpić na ścieżkę „pokornej wiary,“ na niej bowiem jedynie może znaleźć Boga i nią tylko może dojść do szczęścia. Czeka ją miłość, uczucia wielkie i święte, które jakby całą jej istotę przemienia, podnosi i uszlachetnia: czuje ona, że „pod kochanych oczuspojrzeniem, coś ją oblało światła promieniem...“ coś jej uskrzydła ramionami; czuje, że „dziwna a słodka tkliwość i jakaś dobroć anielska napełnia jej serce, — dostaje wiarę, bierze nadzieję, — a ideały życia najwyższe tak coraz, coraz zdają się bliższe...“ Tak uszczęśliwiona miłością dziewica staje się wreszcie żoną i od tej chwili przyobleka się w godność najwyższą, jakiej może dostąpić niewiasta:

„Gdy na dziewczynę zawołają: żono!
Już ją na taką godność namaszczone,
Ze jest kapłańskiej dostojności bliska...“

Wielki bowiem i święty obowiązek odtąd ciąży na niej: powinna ona rozżarzać świętą iskrą domowego ołtarza, iskrą, która „jasnym i czystym płomieniem rozbłyska,“ a przy jej płomieniu „grzeją się duchy i serca.“ Jest odtąd kobieta-żona „wiarą i nadzieją i świętem zarzewiem miłości“ —

„I już do szczęścia nic więcej nie trzeba,
Bo cud się pełni rozmnażania chleba,
I cichy spokój łagodnie tu gości.“

W innym wierszu, zatytułowanym „Dobra żona,“ mówi poetka, że jeśli młoda małżonka „kocha szczerze miłością, która mocna jest i tkliwa, jeżeli miłość swoją oparła na silnej wierze w Boga, że będzie przy niej szczęśliwa, to śmiało może patrzeć w życie, „choć i ciężka jest pod górą droga,“ znajdzie bowiem w niem i szczęście i spokój i zadowolenie moralne z dobrze wypełnianego obowiązku, do którego powinna „wstać rano.“

„A chwile życia upłyną w pokoju,
Bo kochająca będziesz — i kochana.“

Wzór prawdziwej a wielkiej miłości małżonki, posuniętej do zupełnego zaparcia się i poświęcenia, widzimy w Racheli, w wierszu: „Kochana Racheli.“ Będąc córką bogatego ojca, poświęciła miłością dziewiczego serca ubogiego pastusza, wyszła za niego i zamieszkała wespół z nim w nędznej chacie w górach. Maż jej pastada owiec w dolinach górskich, a ona warzy dlań posiłek i słodziła mu życie ciężkie swą tkliwością i dobrocią. Lecz maż jej pałał żądzą wiedzy, której mógł nabyć tylko na świecie sławę, rokim w kole mędrców. Nakłania go więc Rachel, by opuścił ją i ich chatę w górach — i owo i poszedł w świat szukać skarbu mądrości, a wrócił do domu dopiero wtedy, gdy w zupełnym posiadzie tę mądrość. Odszedł więc żądny wiedzy maż w świat szeroki na długo, a Rachel została samotna w górskiej chacie: pędziła dzień rano owce na pastwisko, a wieczorem wracała do chaty, rozkładała ogień i nocę bezsenno spędzała we łzach i tęsknocie.

„Niewiasta musi to znieść, skoro kocha!
Lament podnosi niedobra, lub płocha.“

Ulitował się ojciec doli smutnej córki i posłał do niej sługi i zwał ją do siebie; przychodzili też inni, którzy chcieli pojąć ją za żonę, bo była już wdowa, której maż zginął bez wieści, — lecz wdowa i kochająca Rachel

„...Ucha nie dała nikomu
Mówiąc im: strzeżę mężowskiego domu...”

Po siedmiu latach powraca mąż Racheli ze swej wędrówki, lecz niestety... nie zdołał jeszcze osiąść całej owej mądrości, której żąda z chaty górskiej na świat go wypchnęła. Wraca jednak, bo wie, że żona gdzieś dni niecierpliwie liczy do jego powrotu. Lecz, gdy strudzony i smutny stanął w progu swej chaty, podsłuchał modlitwy swej żony, która nie skarży się na opuszczenie, lecz gotowa jeszcze długo czekać na męża, byle tylko powrócił, zdobywszy całą mądrość na świecie. Słyszając te słowa poświęcenia, poczuł mąż w piersi nowe siły do zdobycia mądrości — i odszedł niepostrzeżony od swej chaty i znów długie lata spędził w świecie dalekim. Rachel zaś znów długie dni wiodła w pracy, w wierności i tęsknocie. A po latach siedmiu powtórnym powrócił wreszcie mąż do swej chaty w górach, a szedł już nie sam i nie smutny — lecz w licznym orszaku uczniów, którzy otaczali mistrza swego. Na progu chaty ze łzami w oczach i radośnie bijącym sercem stała Rachel, a mędrzec ujął w ramiona i przycisnął gorąco do piersi wierną swą żonę, a potem włożył na jej korną głowę koronę z perel i klejnotów:

„.....bo ty jesteś, o kobieto!
Żywota mego kryształowym zdrojem —
W walce tyś była siłą i podnieta,
W odpoczywaniu najstodszym pokojem...
Tyś mię karmila w wszelkim głodzie moim...”

A dla szczęśliwej Racheli te właśnie słowa męża i to powitanie najcenniejszą było koroną. Niezwalczoną siłą miłości, która sama wszystkie pokonywa przeszkody i na wszelkie gotowa jest poświęcenia, której na ofiarę oddają się wszystkie skarby serca, widzimy w Safo.

„Dla ukochanych ust muzyki,
Dla ukochanych ocz spojżenia.
Na brzeg pustyni szłabym dziki,
Szłabym w Hadesu czarne cienie...”

Dziś tej miłości na ofiarę
Oddałam serca skarb mój drogi...”

Tak śpiewa postać Safony, na nadmorskiej chwiejąca się skale — i ze słowami: „zaręczonam, do was idę, bogil...” rzuca się w otchłań spienioną. W wierszu p. t. „Dobra śmierć,” widzimy znów rys miłości córki, która przez pola śnieżne bieży, na ratunek zasypanej śnieżycą i zmarzniętej matki i wspólnie z nią umiera w polu.

(Dalszy ciąg nastąpi),

CZARY.

SONETY.

I.

Powiadają, że tam w naszym borze
Jakieś czary z tą wiosną się dzieją:
Białe noce tam swoje łzy sieją,
Białe lilje mdleją na jeziorze...

Jakieś granie budzi senne zorze...
Olbrzymieją tony — olbrzymieją...
Wiatr przelata cienistą aleją,
Niesie tony za góry, za morze...

A bór stoi i tak dziwnie śpiewał!
Zda się drzewa — a pewnie nie drzewa...
Może echa zbudzone się śmieją!...

Coś się stało w borze, coś się stało,
Coś jasnością rozlało się białą...
Hej, nie czary — a czary się dzieją!...

II.

Powiadają, że się dziwy tworzą
W naszym siole, w naszym starym siole:
Wyszło w pole nieletnie pacholę,
Ledwie świt się zarumienił zorzą...

Rzuca ziarna... Pługi ziemię orzą...
Złote ziarna padają na rolę...
Hej, na dolę chłopską, czy niedolę?
Hej czy zginą, czy też się rozmnożą?

Na przednówku do izby sąsiada
Głód zagląda — nie masz ziarn w stodole!
A on z pieśnią na przyźbie usiada,

A on z pieśnią wyrusza, heń, w pole!
A niebios słońecznie się śmieją...
Hej, nie dziwy — a dziwy się dzieją!...

III.

Pańskie dziecię dziś zaszło do chaty,
Co za siołem stoi na wygonie...
W chacie ciemno, — izba w mroku tonie,
Siedzi nędza owinięta w szmaty...

Ziemia na się wdziwała strój bogaty
I słonecznie śmieje się, — i płonie...
W blaskach słońca rozlały się wonie,
Same kwiaty dokoła, hej — kwiaty!

A tu w słońcu zagląda do chaty
Głód, co stoi jak żebrak u proga...
Patrzy dziecię pańskie na te szmaty —

Serce ściska jakaś żalność sroga
I po twarzy łzy z oczu się leją...
Hej nie czary — a czary się dzieją!...

Edward Słoiński.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg)

Magdzia tymczasem poszła do Ewy, lecz zastawszy drzwi zamknięte i na pukanie nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, powróciła oznajmić o tem kasztelanowej.

— No, zostawiam tu waćpana, bo muszę pójść do Ewki. Mam nadzieję, że po tej wielkiej nawałnicy nastanie pogoda, — dodała kasztelanowa, odchodząc.

— I ja tak myślę, ciociu, — odparła Magdzia.

Kasztelanowa tak samo jak Magdzia, nie odebrawszy odpowiedzi na kilkakrotne pukanie, odeszła cicho, czekając aż Ewa sama otworzy. W istocie w pół godziny potem wyszła ona sama, spokojna, lecz ze śladami łez na twarzy. Ciotka udała, że tego nie widzi i rozpoczęła rozmowę, jakby nic nie zaszło.

— Czy już wszystko gotowe do podróży, ciociu? — spytała Ewa niby obojętnie.

— Tak, moje dziecko, — a możebyś jeszcze chciała dzień jeden się zatrzymać?

— Nie, ciociu, tylko chciałam z wami pomówić o onej podróży, — rzekła Ewa, siląc się na spokój. Kiedy odwieziemy Magdzię do ojca, pragnę odrazu wrócić do Krakowa, — nie chcę tam zostawać!

— Dobrze, dziecko, — odrzekła kasztelanowa. Ale cóż się tak śpieszysz?

— Przepraszam was, ciociu, że przezemnie skracacie sobie miłą gościnę, ale proszę, błagam was, wracajmy do Krakowa...

I dodała po chwili wahania:

— Jeszcze jedno chciałam wam powiedzieć... Ja... ja dość już poznałam świat przez czas pobytu mego u was, i chciałabym powrócić co prędzej do klasztoru...

Lecz tu już opuściły ją siły i spokój przybrany; zalana łzami twarz ukryła na kolanach kasztelanowej. Ta w milczeniu objęła jej głowę i po macierzyńsku przycisnęła do piersi. Potem, gdy się nieco uspokoiła, zaczęła do niej mówić z powagą i dobrocią, a dziewczyna słuchała, podniosłszy na nią swe piękne, łzami w tej chwili zalane oczy, bo nikt jeszcze tak z nią sierotą nie mówił.

Po paru jednak słowach kasztelanowej, spuściła wzrok ku ziemi i jakby luna różowa przeszła po jej dziewczyczych licach. Dla ciotki było to wyraźną oznaką, że domysły jej są prawdziwe, więc też przygarnęła do siebie dziewczę serdecznie, mówiąc:

— Moje dziecko, wierz mi, ja wiem lepiej może od ciebie samej, co się w twem serduszkuszku dzieje; a nie grzech ci to żaden, jeno wola Boża i przeznaczenie; śnać Bóg chce, abys mu inaczej służyła...

Ewa znów ukryła na jej kolanach twarz zarumienioną, a po chwili ozwała się drżącym od wzruszenia głosem:

— Ach, ciotucho, ja przecież przyobiecалаm, że włożę suknię zakonną, a wszak to grzech złamać obietnicę, daną Bogu?

— Przecież ślubów jeszcze nie złożyłaś, a wszak i z nowicyatu wychodzą ludzie, kiedy pocują, iż powołania nie mają. Wierźaj mi, nie tylko w klasztorze można Bogu służyć, owszem, na świecie więcej do tego znajdziesz pola. A iść do klasztoru i później żałować tego, to gorszy grzech, niż złamać obietnicę, wyrzeczoną w niedoświadczonym sercu. Bo że gorzko byś żałowała później onego postanowienia, tego jestem pewną...

— Ja, ciociu, sama nie wiem co jest ze mną, — mówiła Ewa cicho. Modliłam się, aby Bóg odegnał od mej duszy one pokusy szatańskie, ale i modlitwa nie przyniosła mi żadnego uspokojenia — i nieraz, gdy Magdzia spała, ja całą noc przepłakałam w tej srogiej niepewności.

— Biedne dziecko, — rzekła kasztelanowa, tuląc ją do siebie. Ja bo dawno domyśliłam się, patrząc na was oboje, co to się święci i byłam szczerze rada temu, bo to chłopak dobry z gruntu, choć wichrowata natura. Przekonałam się o tem w rozmowie, jaką miałam z nim przed chwilą. Młody, to mu się pali trochę w głowie, ale nie uczyni on nic przeciwnego cnocie i zasadom, jakie otrzymał w zacnym domu chorążego, — o to jestem spokojną. I — dodała z uśmiechem, patrząc na zarumienioną Ewę:

— A niech się dostanie pod czyjaś dobrą kementę, to się ustakuje, da Bóg, zupełnie...

— Och, ciociu! — szepnęła Ewa i rzuciła się jej na szyję, by ukryć rumieniec.

Poczem rzekła cicho, spuszczać oczy:

— Albo ja to potrafię kim komenderować?

— Oho, patrzcie ją, jaka mi skromnista! — zawołała kasztelanowa z uśmiechem. Coś mi się widzi, że mówisz nieszczerze i że potrafisz prędko osiodłać człowieka, kiedy zechcesz, — ty pobożna duszo! A gdybyś widziała go dziś, po twojem odejściu, gdyś to się rozgniewała na niego, — wyglądał jakby go najśrodsze nieszczęście spotkało...

— Ej, może to cioci się tylko tak zdawało, — odrzekła Ewa, odzyskując trochę swobody, — nie

myślę, żeby mój gniew go tak mocno obcho-
dził.

— Otóż widzisz że obchodzi—i bardzo, ażem
ja się zlitowała nad nim i obiecałam, że mu bę-
dę szprymierzeńcem i dopomogę w tem, by ów
srogi gniew przebłagać i uprosić darowanie
winy...

I dodała po chwili, patrząc na nią:

— No, cóż, czy mogę go pocieszyć nadzieją
przebaczenia?

Ewa spuściła oczy, lecz odrzekła głosem dość
pewnym:

— Niech nie szuka niczyjego pośrednictwa,
ale sam się stara o to.

— Bardzo dobrze, — powiem mu to. A teraz,
moje miłe dziecko, zostawiam cię samą, abys pomy-
ślała nad tem, com ci rzekła. Zważ dobrze,
jaka droga przed tobą się otwiera, i jakie zadanie
na niej leży. Nie za krętą klasztorną tobie
żyć, jeno na świecie, między ludźmi, roztaczając
na nich promienie dobroci i miłości, i naprawiając
to co złe, pracując wreszcie dla szczęścia
bliźnich...

— Czy chcesz być taką?

— O, chcę, chcę! — wyrzekła Ewa z promien-
nym blaskiem w oczach, poczem dodała ciszej:
— tylko strach mię zbiera, czy znajdę na to siły!

— Znajdziesz, znajdziesz, — Bóg ci ich doda, —
odrzekła kasztelanowa, całując ją w czoło i od-
chodząc.

Dziewczyna, zostawszy samą, zamysliła się
głęboko. Jej złotowłosa główka chyliła się, jak-
by pod ciężarem myśli i marzeń, które przez nią
przepływały, a oczy, tylko co oschłe z łez, świe-
ciły jasnym blaskiem. Twarz jej, zwykle blada-
wa, zakwitła rumieńcem i stała się cudnie pię-
kną, bo ożywia ją jakiś płomień wewnętrzny,
roztaczający ciepły blask dokoła całej postaci.

Do obiadu jednakże nie wyszła, przez Magdzię
uprzedziwszy ciotkę, że ją głowa boli. Kasztela-
nowa uśmiechnęła się, nic nie mówiąc. Pan Jan
przez cały czas miał minę winowajcy, aż kaszte-
lanowa rzekła mu, żartując:

— No, panie poruczniku, przestań-że już wy-
glądać jak delikwent, skazany na śmierć, bo mo-
że jeszcze otrzymasz amnestję.

Magdzia siedziała, wciąż zachowując powagę
matrony, ale gdyby ktoś zajrzał uważnie w jej
oczy, dostrzegłby tam wyraz, jaki mają oczy
chłopca-figlarza, gdy mu się jaka psota dobrze
uda.

Żołnierze Harasowskiego, stojąc ztąd o mie-
dzą, plądrowali wsie okoliczne, aż w końcu zaj-
rzeli i do Jodłowa. Z okien dworu widać było
wieś, i Magdzia, stojąc wraz z Ewą i przypatru-
jąc się, jak słońce zachodzi czerwono nad wier-
chołkami lip, ujrzały nagle dym, wznoszący się
w jednym końcu wioski ciemnym słupem.

— Co to jest? — Pali się! — wykrzyknęły obie.

Wkrótce ujrzały kilkunastu żołnierzy, rabują-
cych chatę jednego z zamożniejszych gospodarzy;
oni to na psotę podpalili chłopską stodołę.
Płacz i jęki rozległy się wkrótce we wsi; chłopi
bali się bronić swego dobytku, bo im grożono
śmiercią, jeśli tylko będą usiłowali przeszkadzać
w rabunku.

— Ach, gdybym była mężczyzną! — wołała
Magdzia, zaciskając pięście. Mielizby się dobrze
ode mnie! Wsiadłabym na koń i rozpedziła tych
łotrów na cztery wiatry...

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy na drugim
końcu wsi rozległ się odgłos trąbki i po paru mi-
nutach na końcu ulicy ukazali się dragoni, a na
czele ich pan Jan. Zbliżyli się tak nagle i w ta-
kim porządku, że rabusie, którzy rozbiegli się
byli po chatach, nie spodziewając się bynaj-
mniej żadnego ataku, odrazu stracili głowę i do-
padłszy koni, gdzie który mógł, poczęli uciekać,
sadzając przez płoty i ogrody chłopskie. Dragoni
ścigali ich czas jakiś za wsią i niejednemu z ucie-
kających dostało się po karku, a w końcu roz-
proszeni po polach, w wielkim strachu umknęli,
porzucając wszystko co narabowali; dragoni zaś
powrócili do wsi w porządku.

Magdzia nie posiadała się z radości, klaskała
w ręce i pobiegła opowiedzieć wszystko kaszte-
lanowej, która będąc wówczas po drugiej stro-
nie domu, nie widziała całej tej sceny, zwłaszcza,

że była zajęta wydawaniem dyspozycji gospo-
darczych Piątkiewiczowi, przed wyjazdem. Ma-
gdzia, rozpowszechniając jej wszystko, biegła
przez sień gdy spotkała się z panem Janem, po-
wracającym z wyprawy.

— Zebyś wiedział Janku, jak się cieszyły-
śmy obie z Ewią, żeś rozpedził tych łotrów
niegodziwych! — zawołała, zatrzymując go.

— A z kądżeście mogły widzieć? — spytał pan
Jan zdziwiony.

— O, z naszego pokoju, przez okno widać by-
ło doskonale, bo tam drzewa nie zasłaniają. Opo-
wiedziałam już wszystko cioci i ona także po-
chwaliła ciebie, i powiedziała, żeś się gracko
spisał...

— Eh, co tam, niema o czem mówić, — rzekł
pan Jan, machnąwszy ręką. — Nie wielka sława
zwyciężyć tchorzów, którzy umykali, nie da-
wszy ani jednego wystrzału, Harasowski tu ich
umyślnie przysłał, przez złość, że został tak źle
wczoraj przyjęty, ale niechże mi niezachodzi
w drogę, bo mu jeszcze dam naukę lepszą niż
dziś. A teraz puść mnie, siostrzyczko, bo nie
mam czasu...

— Nie puszczę, nie puszczę! — zawołała Ma-
gnia śmiejąc się i trzymając go za rękę — Mu-
sisz zostać jeszcze z nami i opowiedzieć jak to
było, bośmy okrutnie ciekawe...

— A zwłaszcza ty moja najmilsza siostrzycz-
ko. Szkoda tylko, że cię nie mogę ucieszyć opo-
wiadaniem o jakowychś bohaterskich i sławnych
przewagach, bo nie umiem zmyślać, jak owi
poeci, co wierszem różne dziwa opisują. A po-
nieważ jutro rano wyruszamy...

— Czekaj, czekaj, odtąd choćbyś nie wiem co
zrobił, to cię nigdy nie pochwałę! — zawołała
Magdzia, niby oburzona. — Zła jestem na wać-
pana! Chodź-no, niech cię jeszcze Ewcia wy-
łaje!

To mówiąc, otworzyła drzwi i wepchnęła go
prawie gwałtem do sali, gdzie spotkał się oko
w oko z Ewą, sama zaś tymczasem znikła, rada,
że jej się figiel udał.

Ewa tymczasem przystąpiła do pana Jana,
który stał zmieszany, i patrząc nań okiem, świe-
cącym od łezki, rzekła dziwnie sordecznym to-
nem:

— Dziękuję waćpanu!

— Za co, — zapytał żywo, — za co mi waćpan-
na dziękujesz?

— Za to żeś nie dozwolił krzywdzić tych bied-
aków! — odrzekła z rumieńcem, który ją jeszcze
piękniejszą uczynił.

— A czy waćpanna miałaś mię dotąd za jakiegoś
potwora, któremu obojętne są lzy i krzy-
wda ludzka? — zapytał głosem, w którym dźwię-
czał wyrzut.

— Nie, o nie, — zaprzeczyła zmieszana, — są-
dziłam tylko...

— Żem podobny do pana Harasowskiego, —
dokończył. — Ale teraz, kiedy przekonałaś się
waćpanna, że jest między nami niejaka różnica,
czy mogę mieć nadzieję, iż przestanę być przed-
miotem postrachu i odrazy?

Pomimo, że starał się lekko wymówić te sło-
wa, głos jego zadrżał nieco przy końcu.

— Z kąd waszność wzięłaś, żeś był nim kie-
dykolwiek? — zawołała.

— Widziałem to w każdym spojrzeniu wać-
panny i to mi zatruwało życie...

— Omyliłaś się waćpan, — rzekła cicho, i po
chwili, zarumieniona mocno; podała mu rączkę,
jak gdyby na znak, że zgoda odtąd ma nastą-
pić między nimi. On wziął tę rączkę z bijącym
sercem i przycisnął ją do ust z taką czcią jakby
jaką świętość.

Oboje przytem byli tak wzruszeni, że niemo-
gli zdobyć się na słowa, i stali naprzeciw siebie
milczący, ze spuszczoneym wzrokiem, — zakłopotani
i zarazem szczęśliwi.

Lecz Magdzia nie dała im tak długo pozosta-
wać; przybiegła z sąsiedniego pokoju skacząc,
klaszcząc w ręce i wołając:

— Pakt zawarty! Wojna skończona! Ciociu,
ciociu, niechże ciocia przyjdzie! Pokój między
stronami wojującemi!

Kasztelanowa także ukazała się w drzwiach
zapytując, co się stało, że krzyk taki.

— Oto, ciociu, nieprzyjazne mocarstwa za-
warły z sobą pokój, — prawila Magdzia uroczy-
ście, wskazując na Ewę i pana Jana, którzy stali
zmieszani nieco tą sceną. — Czyli mówiąc języ-
kiem zwyczajnym, pan Jan i panna Ewa pogo-
dzili się z sobą wreszcie, przyrzekając, że się
już odtąd nie będą kłócić, co daj Boże, Amen! —
Poczem swawolnie rzuciła się na szyję przyja-
ciółki, ściskając ją z całego serca i wzajem od-
niej uściskana. Następnie podbiegła do brata
i wspiąwszy się na palce, zajrzała mu w oczy,
zapytując figlarnie: — A co, czy dobrze się zem-
ściłam?

— Dziękuję ci siostrzyczko! — rzekł półgło-
sem, ściskając mocno jej dłoń.

— A no, to rada jestem, że pakt zawarty, —
rzekła kasztelanowa, uśmiechając się.

Wieczorem, gdy Ewa z Magdzię znalazły się
same w pokoju, ta ostatnia zapytała, patrząc na
przyjaciółkę czule i swawolnie zarazem:

— Ewciu, czy zawsze chcesz iść jeszcze do
klasztoru?

Ewa zarzuciła jej ręce na szyję i wyszeptala
zarumieniona:

— Nie, już nie pójdę!

III.

Nazajutrz, wczesnym rankiem wyruszone
w podróż.

Dzień, jakby umyślnie był nadzwyczaj pię-
kny, mroźny, lecz cichy. Pola i lasy w tym
poranku zimowym wyglądały jakby mgłą lekką
owiane a kiedy słońce wreszcie przebiło chmu-
ry, tysiące iskier strzeliło na gałązkach, okry-
tych szronem daleki zaś, powiewny krajobraz
falował teraz w powodzi światła.

Ten pierwszy dzień podróży bardzo był weso-
ły; Magdzia szczebiotała bez ustanku, Ewa była
ożywiona i rumiana, jak róża, świeżo rozkwitła;
pan Jan, jadąc obok kolasy, co chwila pochylił
się z konia, by usłyszeć co do niego mówiła.
Chwilami w tem mroźnem, cichem powietrzu
rozlegał się śmiech srebrzysty, lub gwar mło-
dych, wesołych głosów, dźwięczących radością
i życiem. Kasztelanowa patrząc na to, czuła
się także zadowoloną i uśmiechała się na widok
otaczających ją młodych twarzy, rozpromienio-
nych szczęściem.

Konie dziś także rade, bo ciągle parszkają, —
rzekła Magdzia.

— To tak na dobrą wróżbę, panienko, — ozwał
się Michał Zawała, który z kądś znalazł się
blisko sań idących tuż za kolasa, w których je-
chał francymer kasztelanowej i gdzie także we-
sołą toczono rozmowę.

Zresztą zadowolenie było ogólne, bo i żołnie-
rze, domyślając się z twarzy porucznika, że jest
w dobrem usposobieniu, korzystali z tego i po-
częli między sobą gwarzyć, dowcipkować, a na-
wet w ostatnich szeregach rozległa się piosnka,
o Jasiu, co szedł na wojenkę...

— Jaki dziś śliczny dzień, ciociu! — mówiła
Ewa, rozglądając się dokoła okiem, pełnem ży-
cia i blasku.

Od jej twarzy zdawało się, że światło bije ja-
kies; — piękność jej, stała się promieniejącą, nie-
przystając być królewską i Magdzia, która ją do-
tąd zwała zakonnica, teraz przezwala ją króle-
wną. W istocie czoło jej wyglądało tak, jak
gdyby na niem jaśniała niewidzialna korona...

— Radbym tak jechać do końca świata! —
zawołał pan Jan, odpowiadając na słowa Ewy.

— O, co ja, tobym nie chciała tak długo, —
ozwała się Magdzia, — bo by mi się sprzykrzyło.
A zresztą co by mi za przyjemność była podró-
żować, gdybym się zestarzała, zgięła we dwoje
i gdyby mi zęby powypadały... Nie, nie, to już
wy sobie oboje z Ewią podróżujecie do skończe-
nia świata, ja wolę zostać z ciocią.

— Ależ ja wcale nie miałem na myśli staro-
ści, — chciałbym żeby wszystko i wszyscy pozostali
tak jak teraz, — odrzekł pan Jan.

— Oho, czego mu się też zachciewa, — odpar-
ła Magdzia, kręcąc głową. — Dziękuję za to, żeby
była ciągle zima — wolę ją wiosnę...

— I ja także,—rzekła Ewa.— Jednak ludzie stateczni i poważni zawsze lubią zimę—to rzecz wiadoma każdemu...

Tym razem wszyscy, nawet kasztelanowa zaczęli się śmiać, a ta ostatnia rzekła, grożąc palcem:

— Ejże, Ewko, widzę żeś złośliwa! Czy to cię w klasztorze tak wyuczono?

— Nie, ciociu, ale mówię, że na świecie ciągle walczyć trzeba, więc ja walczę taką bronią, na jaką mi stać.

— No, patrzcie,—nie wiedziałam, że w tej mniszce siedzi tyle wojennego animuszu,—rzekła kasztelanowa.—Strzeż-no się waćpan tej cichej wody...

— O, ja wiedziałam, że Ewcia stanie się kiedys śmielszą, a wówczas nie nam się nie oprze,—rzekła Magdzia.—Nieprawdaż Ewciu?

— O, tak, tak,—potwierdziła Ewa z ożywieniem.— Wpierw nie ufałam własnym siłom a raczej przeceniałam siły nieprzyjaciela,—teraz zaś wiem, że wszystko tylko zdaleka wydaje się straszne, a zbliżka... — I machnęła rączką z uśmiechem.

— Gdybym był wiedział, że taki pakt przeciwko mnie zawarto, tobym się był w porę cofnął,—rzekł pan Jan.

— Więc ja waćpanu będę aliantką, jak to już w pierw przyobiecałam,—rzekła kasztelanowa.

— Ciociu, ciotuchno,—zawołała Magdzia, rzucając się kasztelanowej na szyję,—niech ciocia tego nie robi,—to byłaby zdrada, ciocia powinna z nami trzymać, oni i tak jeden za drugim murem stoją i łatwo każdy z nich zyska sprzymierzeńca...

Ewa także poczęła ją całować po rękach, powtarzając:

— Niech ciocia tego nie robi!

I tak im czas schodził niepostrzeżenie. Gdy dojechano do popasu, Ewie wyrwał się wykrzyk: „Tak prędko!” a pan Jan powtórzył to samo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY

TEOFILA LENARTOWICZA

do Eli (Jzabelli)

(od 1871—1893 r.).

(Dokończenie).

XVIII.

Florenycja, 26—12—90.

Najzaciejsza Pani!

Życzę Jej szczęścia, ale może być szczęście, gdy bieda w kraju wielka, tak pod względem ekonomicznym, jak pod każdym innym; wszystkie listy, jakie odbieram, tę jedną piosnkę przynoszą.

Z P. Młocką nie widziałem się, nie mogąc pojechać do kraju z powodu choroby, na którą całe lato prawie cierpiałem (żółtaczka) i braku trawienia pokarmów. Kilka te miesięcy spędziłem w górach Apeninach, o parę godzin drogi od Florencyi, gdzie miałem sposobność poznać i ocenić zacnych Włochów, którzy otaczali mnie w chorobie prawdziwie braterską pomocą, towarzyszyli na przechadzki, kiedy zwolna do zdrowia powracałem. Ludzie, których poprzednio nie znałem, panowie i dostojnicy kościoła — dobry to naród i wielce nam życzliwy.

Od p. Julii oddawna nie miałem wiadomości; brat jej Paganini był tu w obowiązkach zawiadowcy w handlu bronzów p. Pelas; biedny zachodził kiedyś do mnie, prosząc, żebym mu miejsce jakie w Bolonii wynalazł, ale gdzie tu znaj-

dzie w obec takiego przeludnienia, że na posadę podpalacza w piecu na kolei żelaznej, 560 się ubiega.

Ciotka jej, także biedactwo, ma tu jakieś stowarzyszenie spirytystek, przysłała mi program, wzywający do składek — dziwactwo — nie wiedzieć co.

Z naszych współziomków tej zimy nikt się dotąd nie pojawił, może później — a no trudno, ciężkie czasy nastały, i na wojaże fundusze nie pozwalają; a zresztą, jeśli kto jedzie na zimę dla zdrowia, to nie do Florencyi, a do San Remo, Spezii, Pizy, albo do Neapolu.

O pisma Karola Balińskiego bardzo by się warto upomnieć, a przynajmniej o wydawane przez niego w Poznaniu w Tygodniku. Boże mój, ileż tam wzniosłych myśli, ile stroniec natchnionych prawdziwie, — przeszło to i utonęło w morzu niepamięci.

Pytasz się, zacna Pani, co porabiam — dużo bardzo pisałem, ale wydawać nie mam chęci, bacząc na wstręt do wszystkiego co idealne i co dawny nastrój przypomina — upadek ducha fatalny, z którego już nie pisma, ale chyba kataklizmy jakieś nas obudzą.

Sprowadzenie zwłok Adama (Mickiewicza) było nie na czasie; zbiegli się, bo ludzie dobrzy, czy pogrzeb, czy to chrzciny spieszą, ale żeby do tego jakaś wartość przywiązywać, Boże uchwaj.

Młodzież ta, paradująca artystycznie, ani wiary, ani miłości nie ma. Narcyza ś. p. załża się na swój czas, cóżby dziś zaśpiewała? nie — milczałaby i bolała ciężko, Bóg jej widoku tego oszczędził.

Dobra, zacna Pani, rozmyślając nad temi 50 laty, które przeszły bezowocnie, gorzkie słowa przychodzą na usta, a jednak nie godzi się lecieć w przepaść za drugimi; my na swoim miejscu dotrwajmy niedobitki, a może też choć na godzinę przed śmiercią niebo się rozpozodzi.

Przyjmij, czcigodna Pani, wyrazy prawdziwej części

Teofil.

XIX.

Florenycja, Grudzień—31.

Najlaskawsza Pani!

Tak to, nie znając się osobiście, dążymy ku sobie, troskliwie się dopytując, jak to w mazowieckiej piosence: „Jak się macie, Bartłomieju, jak się bracie masz?” z wiarą, że ten Bartłomiej przy jednym ognisku ogrzewa się z nami, a tem ogniskiem myśl, wiecznie pracująca. Dzięki Ci, dobra, serdeczna Pani, mam się ot tak, jak to starzy, dzień lepiej, dzień gorzej, a nigdy dobrze — ale co tam o tem gadać, ważniejsze co robimy. Pani pracownica święta, każdego dnia pracy owocami cieszysz się, patrząc na istoty młode, w których umysły ziarno nauki zasiewasz, a życiem własnym świecisz. Ja... rozbitek na cudzej ziemi, niczem się podobnym pochwalić nie mogę, — gdybym przynajmniej jak mnich pobożny zasługę miał kontemplacji i modlitw, ale i to nie — myśl jedna oplotła się około duszy, z poza której sieci ani się wydobyć — pracuję, a nie mam ani jednej żywej duszy, z którąby się tem podzielić.

Gdybym dziś skończył moją wędrówkę, zostanie pism na jakie trzy tomy, ale kto to weźmie, kto się zaopiekuje?... szczury.

Z naszych podróżujących żeby ktoś zajrzał — czasem, rzadko kiedy w przelocie na godzinę jakiś stary znajomy.

Pani Julia B. była u mnie, ale mnie nie zastała, ja byłem i jej także nie zastałem, — spodziewam się, że przyjdzie jutro, jak mnie jej przyjaciółka zapewniła, i ona to pisząc do Pani lepiej opowie, co znalazła w mojej izdebce pod strychem.

Za oplatek Bóg zapłać — daj Boże, jeśli nie lepiej, aby nie gorzej, a co do moich imienin, te 26 lutego przypadają, przyjmuję wszakże i dziś, boć

to wszystko jedno, droga Pani; ale mówiąc prawdę, lepiej się było nie rodzić.

Spokojnem obróć na przeszłość obliczem, Zlicz sprawy twoje, a przyznasz, człowieku, Czemukolwiek byłeś, że lepiej być niczem.

Jobowa to skarga niefortunnych — gdybyż nam się rozświeciło to nasze zamglone i zachmurzone niebo.

Pytasz mnie się, droga Pani, o panienkę genialną — prawdziwie zadziwiająca to stworzenie, dziś mające lat 18 — co za talent!

Nauki przychodzą jej z niesłychaną łatwością: angielski, francuzki i niemiecki język zna jak swój własny, gra cudownie na fortepianie, myślałby kto, że jakiś Thalberg czy Rubinstein, a pisze takie rzeczy, że zadziwiać się trzeba. Profesorowie literatury witają w niej pierwszorzędnego talent, utrzymując, że nikt dziś we Włoszech mierzyć się z nią nie może; do tego dodaj Pani serce poczciwe, a najmniejszego zarozumienia. Matka nie uczy jej po polsku, choć zna gruntownie nasz język; wada to powszechna Polek, które za cudzoziemców wychodzą; rzadko która pamięta o tym świętym obowiązku — mówiłem jej nieraz, ale gdzie tam, napróżno.

Otóż i kartka zapisana — to znaczy, że trzeba kończyć wyrazem czci najgłębszej i wdzięczności, a powtórzeniem życzeń: daj Boże lepiej.

Nieznajomy przyjaciel

T. Lenartowicz.

XX.

Najlaskawsza i najczcigodniejsza Pani!

Dzięki Jej poleceniu mnie czcigodnemu doktorowi i jego zacnej małżonce *), miałem szczęście poznać tych dobrych, rozumnych i czynną, użyteczną pracą dla społeczeństwa, chwalebnie a bez krzyku zasługujących się ludzi. Bardzo a bardzo wdzięczny Pani jestem.

Zapytuje się Pani, co znaczy ów rym dziwny „świdali” — albo ja wiem, rodacy moi robią mi takie przysługi, w oryginale rym był: kali — oni pewni byli, że się każdy domyśli, aż tu pokazuje się, że i najinteligentniejsze osoby się nie domyślają. Bodajże ich za to...

Ze zdrowiem jestem niedobrze, nerkowe bóle, na które lecę się, dają mi się czuć boleśnie — a no, cóż robić — 70 lat wydzwonilo, a w czym się chodzi, to się i drze.

Panią Julię widziałem parę razy tego roku, utyla, zdrowa i jeszcze bardzo dobrze się prezentuje — poczeiwa, zachodziła do mnie zobaczyć pracę, która nieudaną pierwszą zastąpi na Campo Santo kościoła S. Croce, i jak się zdaje, była zadowolona — gdzie się obecnie znajduje — nie wiem.

Do kraju, z powodu gwałtownych ataków krwi do głowy, wybrać się nie mogłem, może Bóg da w tym 93-cim zdołam zawleć się, a podziękować osobiście lwowskiemu przyjacielom za dowody ich życzliwości dla mnie.

Powiozę pełną rozmaitych rozmaitości kaletę i niektóre odczytam, wszystkie zaś wydrukuję z dedykacją cieślom, kowalom, tkaczom etc. ilu ich jest rzemieślnikom, a będą mi radzi.

Rzeźbiłem zawzięcie i kilka rzeczy, jeżeli wierzyć można artystom tutejszym, udało mi się, a osobliwie Dante i św. Paweł, — prócz tego zrobiłem trzy biusta naturalnej wielkości i odlałem w bronzie pochód nieszczęśliwych w zimne strony.

Pisałem dużo i czytałem, ile mogłem, żeby też nie być, jak to mówią, zacofanym.

Otóż i wszystko, dobra, najzaciejsza Pani, prócz życzeń, na które, gdybym je chciał wszystkie wypisywać, kartki by mi nie starczyło, streszczam więc takowe do dwóch: zdrowia i tej,

*) Dr. Baranowski z żoną, będąc we Florencyi, odwiedził Lenartowicza.

co jest jak zdrowie, daj Boże, spokoju ducha i wdzięcznej owocującej pracy.

Racz, najłaskawsza Pani, odemnie najczcigodniejszym Państwu Bar. toż samo powtórzyć.

A teraz kończę, polecając się Jej drogiej dla mnie pamięci i sercu.

T. Lenartowicz.

XXI.

Florencya, 17—1—93.

Najczcigodniejsza Pani!

Niech Jej Bóg nagrodzi za opiekę nad sierotą, którą kształcając naukowo, nie zakazuje jej pisania czy improwizowania wierszami, ale i nie zachęca; niech się uczy porządnie, systematycznie, a jak to, czcigodniejszą Panią najlepiej s. p. Narcyza objaśni.

Nie wychowuj jej na poetkę, ale i nie przeszkadzaj—dotąd w jej próbach nie dostrzegłem oryginalności słowa. Talent na początku nie odznacza się myślą i pomysłem, a słowem, obrotem frazesów—styl to człowiek, jak tam ktoś powiedział; styl się wyrabia, doskonali, prawda, ale jego charakter od początku się od innych wyróżnia.

To, co mi najłaskawsza Pani raczyła nadesłać, znajduję zanadto poprawnym, jak na jej wiek, i wolałbym raczej widzieć niedostatki gramatyczne i myśli, byle się w tych pierwszych porowach frazesa inaczej jak u innych układały.

Poeta po Bohdanie nie powie: „Święć się, święć się wieku młody,“ pisząc o młodości, a inaczej tę samą rzecz obróci: „Młodości, tobie cześć, a nie wschodź mi tak marno, jak owo puste w głuchem polu ziarno“ (Olizarowski).

Niech się uczy podług planu przyjętego w instytutach naukowych, a przy wykładzie historii swojego kraju i powszechnej, niech czyta poetów, którzy uczą historii, ożywiają pieśnią liryczną czy opisową. Ucząc się historii rzymskiej, niech czyta Wirgiliusza i Przemiana Owidiusza, których przesłiczny przekład zostawił nam Kiściński. Greckiej—Homera Odyseję i Illiadę—do wieków bliższych i Prudencyusza, jeśli takowy w przekładzie się znajduje; do krucyat—Tassa i t. d. Ucząc się początków historii naszej, niech koniecznie uczy się „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza. Homera mamy wzorowo tłómaczonego przez Lucyana Siemieńskiego (Odyseę), Illiadę przez Dmochowskiego. Niech czyta Krasickiego, Woronicza, niech czyta Koźmiana Stefana Czarnieckiego, a kiedy przyjdzie do epoki romantyzmu u nas, dopiero wtedy Mickiewicza.

Słowacki i Bohdan Zaleski najłatwiej bywają naśladowani, sprawia to muzykalność formy, niechże ich unika; pod tym względem mnóstwo talentów u nas zmarnowało się, naśladowując formę Słowackiego.

Zważaj, najzaćniejsza Pani, na charakter młodziutkiej dziewczeczki i jak to ona tworzy. czy się kryje z tem co napisze; czy czem prędzej przed innymi popisuje, czy to są rzeczy wyobraźni, czy prostego uczucia, w piękne oblekającego się sukienki, i tylko w tym ostatnim razie zachęcaj do poezji.

Poezya to głos przedewszystkiem serca, prawdziwa więcej porusza niż zadziwiania.

Do pamiętnika przysyłaj najłaskawszej Pani w następnym liście.

Zimno, mroz (sic), tu mamy ręce pograbiące, więc i muza odwraca się śladem Apolina ojca; niechno ciepłej trochę będzie, a trawy podrośną i ptaki skrzydła wysterują.

Zdrowie moje ot tak, dzień lepiej, dzień gorzej, a nigdy dobrze—70 lat wydzwonilo.

Po nocach bezsennych przechodzę w myśli wszystkich świętych naszych, i zwykle zaczynam od Narcyzy, Kazimiery (Ziemieckiej), Lewickiej, Grotusowej i tak dalej... ach! żebyż je

zobaczyć, ale zkadby taka łaska nędznikowi, który z niczem ma na drugi świat się odprawić.

Przyjmij, czcigodna Pani, wyrazy najgłębszego szacunku, z jakim pozostaję.

Prawdziwy sługa

T. Lenartowicz.

PRZEGLĄD PISMIENNICY.

Czesław Jankowski (Czesław). WYBÓR POEZJI. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, Gebethner i Wolff, 1897, str. 220.

Każda lepsza książka ma swój wybitny organizm, swą głowę i rozum, swoje serce i uczucie, swoją fantazyę i zmysły, swoje ciało zewnętrzne i wewnętrzną duszę i przynajmniej jedno z tego wszystkiego jest tak wybitnem, że staje się cechą typową całości.

Są książki, w których przemaga myśl, w innych serce, w innych zmysły, w jednych szata zewnętrzna czaruje drobiazgowem, artystycznym opracowaniem, w innych duch bierze formę tylko jako konieczną potrzebę swego objawu i samą treścią pochłania czytelnika. Leży przed nami tom Poezji Czesława i chwytą nas przedewszystkiem—za serce.

Chwyta bardzo łatwo, bo forma wyrażonych uczuć jest tak ładna, subtelna i miejscami nawet wypieszczona, że od razu wrażenie uderza harmonijnie i oddajemy się tkliwemu wzruszeniu wywołanemu przez poetę. Serce tej książeczki tkwi w cyklu zatytułowanym:

„Między nami.“ W dziewięciu poezjach skreślił autor dzieje serdecznego wnętrza młodego domu, bohaterami są: mąż, żona, dziecko, a treścią: miłość małżeńska, rodzicielska, drobne cienie na tym słonecznym dniu życia, ciepło i szczęście, trochę czasem prozy i ironii, wielka głębia życiowa i nieco światowych śmieszności dalej przesłiczny obrazek tradycyjny: Gwiazdka i najpiękniejsze z szeregu dwie piosnki: „Za wózkim“ i „Ojciec.“ Tom poezji, który mieści taki zbiorek jak „Między nami“ nie może przejść obojętnie przez ręce czytelnika, a osobliwie czytelniczek. Któraż kobieta nie odczuje wielkiej prawdy takich zwrotek jak następujące i nie odnajdzie analogii w własnym życiu wewnętrznem:

„Już nie leje łez, że dni się wloką,
„Ze ich żmudna nie zabija praca,
„Ze najdrożsi wszyscy gdzieś daleko,
„Ze mąż z miasta coraz później wraca,
„Ze czasami, niewiedzieć zkad płocha
„Myśl do serca wkrada się zdradziecko—
„Żyje znowu, pragnie żyć—bo kocha,
„Już jej nie brak niczego—ma dziecko!
„Gdy ją teraz szorstkie słowo draśnie,
„Wnet na uśmiech usta się wysiłą,
„Byle cicho było kiedy zaśnie,
„Dziecko z trudem uśpione przed chwilą...
„Już jej żadna walka nie pokona;
„Czując, że kres wytrwania wciąż bliski,
„Jak na ołtarz śpieszy złożyć ona
„Łzy swe ciche.—u dziecka kołyski.
„Oto wraca z przechadzki po łasku,
„Cała w bieli, w ręku niezabudki,
„Wózek przed nią toczy się po piasku,
„Dzieciak ku niej zagląda z pod budki.
„I gawędzą, słyszę, całą drogę:
„Patrząc na nich w bolesnej zadumie:
„Widać dziecko wszystko to rozumie,
„Czego nigdy pojąć ja nie mogę...“

To jest prawdziwa poezya, szczerza, z gruntu rzeczywistości rodem, nie naciągana na fałszywe struny mody, nie podmalowywana sezonowymi kolorytami symbolizmu lub „fin de siècle“u, sama tu prawda, dziecko siedzi w wózku i gawędzi z matką chociaż mówić nie umie! Tak

jest, Czesław ma słuszość, ono wszystko to rozumie czego filozofowie i doświadczeni mędracy wręcz nie pojmują, bo to jest tajemnica ducha i życia, te cudowne sylabizowanie uczuć wzajemnych, na które nie ma, na szczęście, ani metody, ani elementarza, tylko jest żywioł który uczy, to jest: miłość. Zeby to zrozumieć i odczuć i oddać w poezji trzeba też w sobie mieć ogromnie wrażliwy żywioł to jest: poezye.

Dlatego też ów „Ojciec“ mówi w rozważaniu, gdy matka znużona czuwaniem przy chorem dziecku usnęła na chwilę a on został na straży:

„Biedny dzieciak! czegoś chciał odemnie
„A ja, którym wiedzę zgłębił całą,
„Głowę sobie łamałem daremnie,
„I nie zgadłem... czego dziecko chciało!“

W tym cyklu tkwi serce talentu Czesława; myśli, refleksya, umieściły się w „Sonetach,“ w „Dniu letnim,“ w „Wiosennym śnie nocy,“ w „Arabeskach“ w wielu piosnkach nawet miłosnych, bo autor, nawet w uniesieniach romantycznych zachowuje pewien wstrzemięźliwy rytm i tuż, tuż za wynurzeniami idzie u niego ironia, mniej lub więcej gorzka, w którą oksydują się całe szeregi poezji jak np.: „Pan Prezes“—wyborna „Sylwetka,“ „Pan,“ „Słowik“ „U progu raju,“ „Zacny Król“ i strofki z cyklu „Capriccio.“ Opisowe rzeczy też się dobrze udają, mianowicie: „Kassandra,“ „Wieczór w Alpach,“ „Menuet“ i inne. Jak na „Wybór poezji“ tomik jest nieco za mały; Czesława są inne poezye jeszcze zasługujące też na „wybór,“ a w większej zebrane całości dałyby dokładniejszy obraz talentu poety. Tomik niniejszy ma w sobie, na ogół, więcej coś rysunkowego, niż malowanego żywymi, pełnymi barwami, więcej jest linii, bardzo zresztą regularnych i misternych niż ciepłego kolorytu. cykl „Między nami“ jest jasnym gorętszym punktem, a zresztą, zestawiono arabeski subtelne, splecione, misterne, smętne ironiczne, i uczyniono z nich książeczkę zajmującą lecz trochę chłodną, może dlatego, że każdy labirynt, a mianowicie labirynt psychiczny im dalej w niego się zapuszczamy im więcej dzielimy i płaczemy ścieżki myśli i uczuć, tem nas więcej oddziela od ciepła codziennego, od słońca szczęścia i tem nam smutniej w tym gmachu tajemniczych wzruszeń i nastrojów, tem smutniej i tem chłodniej. Ale krytycyzmem dotykać tajemnic natchnienia trudno, każdy czytelnik będzie miał chwile takie w życiu, w których delikatna i chłodna ironia bijąca z tonu poezji Czesława, stanie się pożądaną i kojącą chłodną ręką niewidzialnego przyjaciela złożoną na czole znużonem gorączkową życia gonitwą. Poeta „widać wszystko to rozumie“ czego przeciętny czytelnik „nigdy pojąć nie może,“ ale z pewnością w tłumie znajdzie i współczującego słuchacza, który go pojmie, własnym smutkiem arabeski rozplącze i dozna ulgi wewnętrznej.

Szczesna.

Kuracya u wód.

Miejscowości kuracyjne nie są wcale wymysłem nowym, jak to utrzymują gderliwi mężowie żon, które lekarze do wód wysyłają. Były one na porządku dziennym już nawet u starożytnych Rzymian, kiedy przed 1900 laty wody Bajae cieszyły się wyjątkowem powodzeniem, tak że dystyngowany świat Rzymu budował sobie tam wille; najslawniejsi, podagra trapieni wodzowie leczyli się kąpielami, a piękne panie udawały się na podbój serc męzkich. Tak bywało również w piętnastym i szesnastym stuleciu, kiedy książęta z wielkim przepychem w towarzystwie olbrzymiego orszaku wyruszali w podróż do Gasteinu lub Karlsbadu. U nas już w XVI wieku słynny naówczas lekarz Wojciech Ozcko wydał książkę o znaczeniu wód leczniczych.

Co jednak odróżnia obecne podróże do wód od tych dawno ubiegłych czasów, to to że wskutek niezmiernego ułatwienia środków komunikacyjnych stały się one dostępnymi nie tylko dla wybrańców fortuny, ale też i dla szerszych warstw ludności. Lepiej też dziś pojmujemy istotę i zakres działania podobnych kuracji. Kiedy bowiem pierwotnie sądzono, że źródła lecznicze pozostają pod szczególną opieką bóstw, tłumaczono sobie działanie wód w sposób mistyczny, jako coś tajemniczo boskiego; później przypuszczano, że wodom mineralnym szczególną ich siłę nadaje „duch źródła;“ dopiero w najnowszych czasach wiedza rozjaśniła te ciemności i przekonaliśmy się, że źródła mineralne nie są jakimś cudownym wytworem przyrody, ale podlegają ogólnym jej prawom.

Wiemy już zupełnie dokładnie, że źródła mineralne, pomimo swoich uzdrawiających własności, nie mają żadnego cudownego początku; powstają one tak, jak każde zwykłe źródło z nagromadzenia się wody deszczowej i stopionego śniegu; ich zaś odrębność stanowią składowe części, które woda w biegu swoim zabiera z ziemi w stanie lotnym lub stałym. Wysoki stopień temperatury, którym się wiele źródeł leczniczych odznacza, nie jest wcale wynikiem wulkanicznej działalności w głębi ziemi, jak to dawniej przypuszczano; ma on inną przyczynę, a mianowicie, że gorące źródła wytryskują z większej głębokości, ciepło zaś właściwe ziemi powiększa się im dalej dostajemy się do jej głębi, a jeżeli kanały, którymi przepływa woda, bardzo są głęboko położone, wówczas powstają t. zw. „Thermy,“ czyli gorące źródła. Jeżeli dawniej przypisywano smak wody niektórych termów, podobny do smaku rosółu, szczątkom przedpotopowych zwierząt, wiemy teraz, że przyczyną tego są znajdujące się tu w stanie rozkładu wodorosty. „Duch“ zaś, który jakoby powodował wrzenie w owych źródłach, został skutecznie przez chemików zdemaskowany jako kwas węglowy.

Jak początek i skład źródeł mineralnych straciły zupełnie cechę nadprzyrodzonej cudowności, tak też i lecznicze ich działanie długo pokryte mgłą zabobonu, wraz z postępem medycyny coraz dokładniej się rozjaśniało. Chemiczne badania źródeł dały nam do tego klucz, a ich wpływ leczniczy zależnym jest od tego, w jakie składniki stałe i lotne obfitują i jakiej wysokości jest stopień ich temperatury. Stosuje się to do wszystkich źródeł, bez względu na to, czy woda ich używana jest do picia, czy też do kąpiele. Chociaż wpływ leczniczy niektórych części składowych źródeł nie jest jeszcze dokładnie wyjaśniony, to jednakże zarówno badania naukowe, jako i doświadczenia praktyczne wykazały dostatecznie wpływ picia wód na ogólną przemianę materii, jako też na czynności poszczególnych organów naszego ciała.

Okoliczność, że sole lecznicze, znajdujące się w wodach mineralnych, spotykają się tam tylko w bardzo małych ilościach, dała nieraz pole niedowiarkom do uważania źródeł leczniczych za czynnik zupełnie nieznan przy kuracji, której powodzenie przypisywano tylko świeżemu powietrzu i odpowiedniej dyecie. Było to jednak zupełnie niesłuszne!

Najnowsze badania wykazały, że słabe roztwory soli, którymi po większej części są właśnie wody mineralne, dziwny wywierają wpływ na działalność życiową komórek ludzkiego (jako też zwierzęcego) organizmu i na zachodzące w niej procesy chemiczne. Zresztą doświadczenia, poczynione w praktyce lekarskiej dowiodły, że nieraz skuteczniejszymi są lekarstwa, składające się z wielu środków w małych zmieszanych ilościach, aniżeli duża dawka jednego środka. Wody mineralne są więc tą mieszaniną różnych leków w bardzo małych podanych ilościach. Nie zapisując się wcale pod sztandar homeopatii, możemy więc pojąć w zupełności, że kilkutygodniowa kuracja, zasadzająca się na picie wód mineralnych, okazuje się nieraz wielce zbawienną.

Naturalna woda mineralna jest bardzo osobliwym i skomplikowanym środkiem leczniczym i długich jeszcze trzeba będzie badań, aby wyjaśnić zupełnie pewno i dokładnie istotę jej skła-

dowych części, rodzaj ich połączenia i działania. Tymczasem musimy się ograniczyć na prostym stwierdzeniu faktu, że pewne oznaczone grupy wód mineralnych, jak: solanki, wody alkaliczne, szcawy żelaziste, wody gorzkie, wody siarczane, mają pewne ściśle oznaczone działanie, już to wpływając na wydzielanie soków trawiennych, już to na czynności serca i organów oddychania, już to na odżywianie krwi i soków. Niedokładność naszych teoretycznych wiadomości co do działania wód mineralnych, może zastąpić tymczasem doświadczenie lekarzy praktykujących, jako też lekarzy zdrojowych, którzy, opierając się na licznych i sumiennych spostrzeżeniach, uzupełniają w ten sposób braki naszej wiedzy.

Przy leczeniu się kąpielami, mniejszą rolę gra jak przy picie wód, różnorodna zawartość wody mineralnej; głównymi tu czynnikami leczniczymi są: temperatura kąpiele, czas trwania pobudzenia, wywieranego na skórę przez kąpiele, ilość zawartych w niej gazów, sposób jej użycia, jako pełnej kąpiele, półkąpiele, tuszy i t. d., wreszcie różne do kąpiele domieszki, jak np. kąpiele błotne, igliwiowe,

Od czasu jak zostało dowiedzionem, że skóra kąpiąca się nie wchłania z rozpuszczonych w wodzie ciał stałych, przekonaliśmy się, że główne znaczenie kąpiele polega na podrażnieniu skóry. Podrażnienie to jest naturalnie silniejsze w kąpielach mineralnych, jak w zwyczajnych, bo do pobudzenia jakie wywiera na naszą skórę ciepło, do mechanicznego jej drażnienia przez wielką masę wody, przylączy się tu jeszcze drażnienie skóry przez zawarte w wodzie gazy, przy czym także i stałe części składowe nie są zupełnie bez wpływu. Chemiczne to drażnienie skóry, które nam sprawiają kąpiele mineralne, objawia się już to jej swędzeniem, już to uczuciem palenia, lub też zaczerwienieniem. Drażnienie to, przenosząc się ze skóry na cały system nerwowy, wpływa na działalność serca, na krążenie krwi, na oddychanie, na wytwarzanie się ciepła, jak również na ogólną przemianę materii

Naukowe badania zapoznały nas także bliżej, jaki wpływ wywierają na organizm ludzki szcawy alkaliczne, tak bogato wyposażone w kwas węglowy, solanki obfitujące w sól kuchenną, kąpiele żelaziste, kąpiele siarczane, również jak kąpiele błotne i gasowe i wedle tego kierujemy się w stosowaniu ich leczniczym. Również pomocnymi okazały się w wielu cierpieniach cieplice naturalne, których skład chemiczny nie wybitnego nie przedstawia; charakterystyczną ich cechą jest tylko wysoka temperatura, z jaką tryskają z łona ziemi. Lecznicze ich jednak działanie, tak różne od działania kąpiele ze zwykłej gorącej wody, nie jest jeszcze wyjaśnione.

Oprócz picia wód i kąpiele, uzdrowiska przedstawiają wiele innych jeszcze pomyslnych warunków dla chorych, szukających tu ulgi w cierpieniach. Zmiana klimatu, odmienny od domowego tryb życia, ściśle zachowanie do poszczególnego wypadku zastosowanej diety, jako też ruch, unormowany wedle potrzeb organizmu, podnoszą ducha, rozbudzając w nim ufność w dobroczynne skutki tej odmiennej zupełnie kuracji. Wpływ zbawienny wywierają tu również znajomości, zawierane z towarzyszami niedoli, którzy już wypróbowaвши na sobie pomyslnie działanie źródeł, stają się heroldami sławy zbawczego dla nich uzdrowiska. Oni to są niejako zachętą do poddania się surowym przepisom kuracji i do wyrzeczenia się ulubionych nam, ale szkodliwych przyzwyczajęń. Jeżeli rozważymy te wszystkie okoliczności, korzystnie dopomagające kuracji w uzdrowiskach, to dojdziemy do przekonania, że niepodobna jest dojsć do takichże rezultatów, stosując wody mineralne w domu, przy codziennych kłopotach zwykłego trybu życia chorego. Zrozumiemy również łatwo, jak trudnym jest dla lekarza zadaniem wybrać trafnie miejsce odpowiednie dla danego chorego, — chodzi tu nie tylko o skład chemiczny wody mineralnej, ale jeszcze o warunki klimatyczne i towarzyskie miejscowości kuracyjnej.

Różne względy powinny nami kierować w wyborze miejscowości kuracyjnej. Umysłowo pracujący mól książkowy powinien poszukiwać

przyjemnej rozrywki i rozweselającego towarzysztwa; wyczerpany towarzyskimi obowiązkami człowiek światowy — potrzebuje ciszy leśnej i wzmacniającego odpoczynku; zupełnie znów odrębne miejscowości nadają się dla osób otyłych, które przy chłodnej atmosferze wiele powinny używać ruchu w górzystej okolicy, kiedy przeciwnie osoby słabowite, małokrwiste, potrzebując przede wszystkim ciepła, powinny szanować swe siły i nie męczyć się przechadzką. Ale i materyalne względy brać należy w rachubę przy wyborze miejsca kuracyjnego; na szczęście jednak konkurencja jest tu tak wielka, a środki komunikacyjne tak ułatwione, że i mniej zamożni są w stanie zaczerpnąć zdrowia w ożywczej przyrodzie, już to wzmacniając ciało swe pokrępiąciami kąpielami; już to wdychając przynajmniej czyste zdrowe powietrze, które krew ich ożywczeni zasili sokami.

Nikt tylko nie powinien oczekiwać cudów od kuracji i przypuszczać, że po uświęconych tradycją 21 dniach kąpiele, a 28 picia wód, wszystkie dolegliwości jego ciała zostaną nazawsze zażegnane a z chwilą opuszczenia uzdrowiska choroby może znów się rzucić w wir męczących interesów albo wyczerpujących przyjemności w przekonaniu, że się już dostatecznie zabezpieczył przeciwko zgubnym wpływom zwykłego trybu życia, którego zaniechał na czas tak krótki.

Przedewszystkiem przy wszelkiej kuracji należy się uzbroić w wielką wytrwałość i cierpliwość; przy takiej jedynie pomocy możemy się pozbyć naszych dolegliwości i odzyskać przed laty już sławione przez poetę „szlachetne zdrowie.“

Kronika działalności kobiecej.

— Księgarnia p. z Dygasińskich Lisowskiej i Rżarzewskiej wydała już w czwartym wydaniu bardzo pożyteczne i zajmujące dziełko „O Wiśle“ przez Krynickiego. Popularnych książeczek o kraju i miejscowej etnografii mamy jeszcze tak niewiele, że każda rzecz nowa lub powtórnie wydana jest przysługą dla czytelników i zarazem dobrze przemawia za wydawcami, którzy trud i koszt nakładu podejmują. Młoda księgarnia przez kobiety prowadzona czyni dotychczas wiele, przedsięwzięcie coraz to nowe wydawnictwa dla młodzieży, dzieci i ludu, za co jej się szczerza i czynna życzliwość należy.

— Pani Salomea Chwatowa przełożyła bardzo udatnie na język francuski najnowszy utwór Świętochowskiego p. t. „Dwugłos miłości“ Pracę ta jako „Un Duo d'amour“ drukowaną będzie w „Revue des Revues.“

— W dniu 26-ym Maja, w gmachu Tow. Dobroczynności w Warszawie odbyły się narady nad projektowaną instytucją mającą się opiekować dręczonymi dziećmi. Inicytorka nowego działu dobroczynności, p. Salomea Chwatowa widzi swe pragnienia już nie ledwie dobrym uwieńczone skutkiem, bo przytułek niezawodnie wejdzie w życie, ustawę jego opracuje adwokat Henryk Konic a znany z gruntownej znajomości podobnych zakładów sędzia Moldenhawer popiera rzecz swą wytrawną radą. Mecenas A. Suligowski przewodniczył naradom, w których wzięło udział grono specjalistów, do zaproszonych należały też panie: Zuzanna Morawska, Walerya Marenowa i kierująca częścią literacką „Bluszczu“ J. Szczęsna Bąkowska. Pani S. Chwatowa zawdzięczać będzie swej niestrudzonej gorliwości, że pomimo wielu przeszkód i trudu dotarła do pożytecznego dla ludzkości celu.

— W Berlinie powstał „Klub kobiecy,“ założony przez panie: Leyden i Hansemann. Klub ma na celu dać kobietom inteligentnym odpowiednie miejsce zgromadzenia dla pożytku i wygod. W gmachu klubu, dawnym mieszkaniu malarza Schadowa, urządzone sale odpoczynku

czytelnie, sale odczytów, bibliotekę, sale jadalne, nawet są pokoje dla noclegu ku wygodzie przejeżdżających pań. Aby zostać członkiem klubu trzeba być poleconą przez dwie osoby już w klubie będące, i zyskać $\frac{3}{4}$ głosów przy głosowaniu. Opłata roczna wynosi najmniej 20 marek. Bardzo dobry to pomysł i jeśli zarząd klubu utrzyma wszystko w należytych porządku materyalnym, społecznym i umysłowym, to nawet takie bliższe stykanie się ze sobą osób inteligentnych może wywrzeć dobry wpływ na oświatę dużego koła kobiet w Berlinie. Tu nas przydałoby się podobne ognisko, zestrzelające w sobie myśli, dążenia i usiłowania świata kobiecego.

— W Zurichu, pani Gizela Kuhn, żona fabrykanta sukna z Brünn, złożyła egzamina państwowe lekarskie z odnaczeniem, i broniąc tezy: „*O trachetis membranacea*“ uzyskała doktorat wszech nauk lekarskich. Pani Kuhn zamysła udać się na wschód i tam czas pewien praktyką doktorską się zajmować.

— Hrabina Wisberg, żona księcia Oskara Szwedzkiego, przybyła do Londynu aby przejść kurs pielęgnowania chorych. Tym sposobem pragnie księżna pomagać swemu mężowi w działalności jego misyonarskiej, jaką przedsięwziął w Afryce.

— W Wiedniu w księgarni nakładowej A. Pichler'a wdowy i syna, zajmującej się specjalnie wydawnictwami pedagogicznymi i przybiorów szkolnych, wyszła ładna książeczka dla małych dzieci, p. t. „Zagadki dla ogródka dzieciniego i domu“ przez Teresę Fockig. Cena 1 marka. Książeczka mała, a dużo w niej treści, ładne pomysły i zabawne opowiadania. Niezawodnie znajdzie czytelników, naśladowców i tłumaczy.

— W Ameryce, w Nowym Brunzwicku, panna Helena Gerald zapisała 20,000 dolarów Kolegium Rutgers. Procenta od tego olbrzymiego zapisu noszącego imię „pamiętkowego zapisu Geraldów“ mają być obracane na ogólne dobre cele.

— Pani Esther Hermann w Nowym-Yorku zebrała 1,224 dolarów dla szpitala chorób skórnych i raka i przeznaczyła tę kwotę na nagrodę konkursową dla wynalazców leczenia skóra. Jest to bardzo mądry i prawdziwie ludzki, cywilizacyjny sposób rozporządzania wielkimi kapitałami; taki kapitał wypowiadający wojnę chorobie, cierpieniu, nieszczęściu jest istotnym dobrodziejstwem w kraju, a ci, którzy go ofiarnie oddają mogą sobie z chlubą serdeczną powiedzieć, że ich rodziną i spadkobiercami jest ludzkość.

Z bieżącej chwili.

— We wsi Włostowie w powiecie Sandomierskim, ma wejść wkrótce w życie pożyteczna instytucja filantropijna. Zmarły w r. 1853 właściciel dóbr Włostów, zapisał fundusz, który obecnie doszedł do poważnej cyfry 83,000 rub., na utworzenie w Włostowie schronienia dla starców niezdolnych do pracy. Wieloletnie usiłowania poprzedniego dziedzica Włostowa s. p. Stanisława Karskiego, w celu ziszczenia powyższej myśli, spotykały ciągle przeszkody; obec-

nie, dzięki gorliwym zabiegom p. Michała Karskiego, zapis urzeczywistniony zostanie.

— Pomnik Grottgera w Krakowie stanie na plantacjach w pobliżu przyszłego gmachu Towarzystwa sztuk pięknych, obok placu Szczyńskiego. Jak już na pewno wiadomo, będzie to posąg dłuta Wacława Szymanowskiego, którego projekt przyjęli sędziowie, jako, ich zdaniem, lepszy od drugiego szkicu, przysłanego przez Tadeusza Błotnickiego.

— W roku bieżącym projektowane są cztery wyprawy do bieguna północnego. Lejtnant Piri, amerykańnik, wyrusza w lipcu parowcem ku zachodowi Grenlandy i ztamtąd saniami do bieguna. Druga wyprawa amerykańska za główny teren swych czynności obiera ziemię Franciszka Józefa. Trzecią wyprawę przedsięwzię, jak wiadomo, towarzyszy Nansena, kapitan Svendrup, czwartą zaś Fryderyk Jacksohn. Natomiast wyprawa belgijska do bieguna południowego zakończyła się niepomyślnie. Okręt się rozbił, ale na szczęście załogę uratowano.

KONKURS.

„Kuryer Warszawski“ w dodatku porannym z d. 17 Maja, pomieścił ogłoszenie następującego konkursu znanej wielkiej firmy łódzkiej Heinzla i Kunitzera.

„Powodowani chęcią wytworzenia u nas nieznannej gałęzi pracy, postanowiliśmy ogłosić pierwszy w naszym kraju konkurs na wykonanie rysunków do druku na tkaninach bawełnianych.

Warunki konkursu są następujące:

Rysunki nadesłane na konkurs winny być wykonane gwaszem na kartonach, o skali dowolnej; najlepiej wszakże w takiej, w jakiejby go autor rysunku chciał widzieć na sukniach lub bluzkach naszych pań. Temat do rysunku pozostawia się do wyboru, a to ze względu, iż celem konkursu jest pozyskanie prac samodzielnych, nie wzorowanych na deseniach zagranicznych. Rysunek powinien być taki, ażeby mógł być powtórzony na tkaninie na całej długości i szerokości dowolną ilość razy, czyli, mówiąc wyraźniej, rysunek powinien przedstawiać całą figurę i plan powtórzenia się tejże na tkaninie.

Rysunek może być wykonany najwyżej w 6 kolorach, przyczem dozwala się tworzenie odmian barw, przez pokrycie jednego koloru innym, jak również przez tworzenie odcieni każdego koloru słabszym lub silniejszym nałożeniem farby; każdy kolor może być zastosowany tylko w dwóch odcieniach.

Rysunki artystów zagranicznych nie będą przyjmowane do konkursu.

Rysunki nagrodzone stają się własnością Towarzystwa. Nagród wyznacza się sześć, a mianowicie: I-sza nagroda rub. 200, II-ga rub. 150, dwie III-cie nagrody po rub. 100 i dwie IV-te nagrody po rub. 50.

Na sędziów konkursu zaproszeni zostali i udział wziąć raczyli pp. prof. Wojciech Gerson, Feliks Bobrowski, Adam Herse i Edmund Noskowski. Nadto do składu jury należeć będą dwaj technicy z fabryk Towarzystwa. Termin ostateczny do składania rysunków naznaczono na dzień 15-ty września r. b.

Prace przeznaczone na konkurs należy przysłać pod adresem „Towarzystwo akcyjne wyrobów bawełnianych Heinzla i Kunitzera w Łodzi.“ Przyczem każda praca ma być zaopatrzona w odpowiednie godło, które mieścić się powinno również na kopercie zapieczętowanej, zawierającej imię i nazwisko, oraz adres autora rysunku.

Konkurs powyższy witamy ze szczerem uznaniem dla dążności, z których wypłynąć może i powinien wspólny pożytek, tak dla przedsiębiorców jak rysowników i rysowniczek naszych.

Czyż nie mamy mnóstwa rodzimych motywów w dziedzinie naszych pojęć, naszej fizjografii, etnografii, flory, fauny i t. d., które dałyby się umiejętnie z wielkim pożytkiem dla estetyki swojskiej spożytkować. Zwracamy powyższe słowa pod adresem naszych kobiet, żądnych i szukających pola do pracy.

MYŚLI.

Sprzecznosci, gdy dojdą do najwyższego stopnia zobopólnego rozwinięcia, spływają w siebie; najnamiętniejsze stanowisko ducha jest bratem najspokojniejszej ciszy, tyleby namiętność nie była podła, a cisza mierności spokojem.

Z. Krasinski.

Szczęśliwy! jeśli wylany dla dobra społecznego pracuje póki może, nie żąda od nikogo wdzięczności, nie zraża się prześladowaniem zazdrosnych.

Jan Śniadecki.

Milion milionów ścieżek snuje się z serca każdego ku sercom drugich, każda w danej chwili może stać się potężnym życia przewodnikiem i czynu zasadą.

Z. Krasinski.

Omyłka druku:

W Nr. 20-ym „Bluszczu“, na stronnicy 154, w szpalcie 2-giej—zamiast potop przyrody wola, powinno być: potop przyrody: woda.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 13 T. II, powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: Stanisław Nałęcz-Ostrowski. *Idealy niewieście poetek polskich.* Studium etyczno-literackie (dalszy ciąg).—Czary. Sonety, przez Edwarda Słóskiego.—*Bezkrolowie*, powieść historyczna w 2-eh częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg).—*Listy Teofila Lenartowicza do Eli (Izabelli)* (od 1871—1893 r.) (dokończenie).—*Przegląd piśmienniczy*, przez Szczęsną.—*Kuracya u wód*.—*Kronika działalności kobiecej*.—*Z bieżącej chwili*.—*Konkurs*.—*Myśli*.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkuś 13 T. II. Przekład Z. S.—*Przegląd mód*. 47 wzorów i robót z opisem.—*Sekreta gospodarskie*.—*Dyspozycje obiadu*.